

M. J. MIGOWA.

ZAWSZE SAMOTNA.

Obrazek z dni ostatnich.

Panna Amelia powracała ze swej codziennej po-
południowej „hygienicznej” przechadzki. Życie swoje
urządziła regularnie, jednostajnie, higienicznie, za-
jęta wyłącznie własną osobą, swoim zdrowiem i do-
gadaniem sobie, przez wymyślanie coraz to nowych
wygód i coraz to smaczniejszych potraw.

Czy miała kiedykolwiek inne marzenia, pragnie-
nia, dążności? Być może. Jeśli jednak je miała, za-
pomniała już sama o nich.

Młodość jej minęła — szara, żmudna, bezkwietna.
Sierota bez majątku, nie odznaczająca się niczem
wybitnym — ani urodą, ani większymi zdolnościami,
wcześnie rozpoczęła wyczerpującą walkę o chleb co-
dzienny. Biegła z Podgórze na Zwierzyniec lub Dę-
bniki za złe płatnemi lekcjami języków, drząc z trwogi,
aby zręczniejsza lub bardziej uzdolniona rywalka nie
wydarła jej lichego zarobku. Zabaw i uciech mło-
doci nie знаła nigdy. Nie tańczyła ani razu na balu,
nie chodziła na ślizgawkę, ani w lecie na wycieczki,
nie miała sobie do wyrzucenia żadnego flirtu, ro-
mansu, nie zabawiła się ani razu w trzydniową choćby
narzeczoną. Na to wszystko nie miała nigdy ani
czasu, ani pieniędzy. Nic więc dziwnego, że w umyśle
jej z czasem zarysował się jeden tylko ideał — ideał
wygodnego, spokojnego życia, wolnego od walki
o kawałek chleba i całe bućki.

Po kilkunastu latach tej żmudnej orki życiowej,
tego biegania z domu do domu, z piętra na piętro,
spadło na nią niespodziewane szczęście. Po bezdzietnej
zmarłej ciotce odziedziczyła wcale okazały majątek!
ładną kamieniczkę i zupełnie okragłą sumkę w go-
tówce. Szczęście to przyszło trochę zapóźno. Panna
Amelia zeszyła się, zżółkła, zestarzała przedwcześnie,
a duchowo zgorzkniała i stetryczała.

Mogła teraz urzeczywistnić swój ideał. Porzuciła
lekcje, urządziła sobie wygodne, zaciszne mieszka-
nie, wzięła zdolną kucharkę i z całym zapasem po-
częła dogadzać sobie i pielegnować się.

Na wszystko inne zubożniała dawno. I teraz,
zdążając powolnym krokiem ku swemu mieszkaniu,
obojętnym spojrzeniem ogarnia ożywiony ruch na
ulicach, maszerujące oddziały wojska, przejeżdżające
ambulanse czerwonego krzyża, jednym słowem to
wszystko, co przypomina, że przed kilku tygodniami
rozpętała się burza dziejowa — krwawa, niszcząca
wojna!

Co właściwie pannę Amelię obchodzić może
wojna?! W swoim egoizmie staropanieńskim i bez-
względnym sybarytyzmie zatraciła czucie z duszą
społeczeństwa. Jakies ogólne prądy, dążenia, cudze
radości, bóle, nadzieje są jej najzupełniej obojętne.
Naturalnie i ona odczuwa skutki wojny. Wszystko
droższe przecież, lokatorzy płacą nieregularnie i do-
magają się obniżenia czynszu.

To jedyny dla panny Amelii punkt styczny z ogólną
zawieruchą.

I teraz, spiesząc z zastrzonym przez przechadzkę
apetytem na podwieczorek, myśli o tem, że bućki
zdrożały i są coraz mniejsze, a podobno mają nawet
zabronić wypiekać bućek z czystej pszenicznej mąki.
Już i tak trzeba było wyrzec się smacznych, chru-
piących rogalików.

Panna Amelia westchnęła, przekonana, że na swych
barkach ożwiga cały ciężar wojny.

W tej chwili zagroziła jej drogę młoda, przy-
stojna blondynka w jasnym kostymie i przywitała
ją głośnie:

— Dzień dobry pani! Jakże się pani miewa?

Była to Janka Skalska, jedna z byłych uczennic p.
Amelii. Panna Amelia lubiła ją bardzo, bo była pilna,
spokojna, pracowita i mało sprawiała kłopotu przy
lekcjach... A w swojej karierze pedagogicznej nie wiele
miała biedna nauczycielka takich uczennic. To też
z przyjaznym uśmiechem rzekła teraz:

— Jak się masz, Janko? Cóż u ciebie słychać?

— Och! wiele wiele, proszę pani! Jestem już
mężatką!

— Co?!

— Tak! Dzisiaj rano odhył się w kościele świę-
tego Piotra mój ślub za indultem, a... jutro mąż
mój wyrusza z oddziałem swoim na plac boju...
Tak cieszę się, że jestem już jego żoną, ale serce
mało mi nie pęka z bólu, kiedy pomyślę, że jutro
muszę się z nim rozłączyć... A tam czeka go wróg,
kule, rany — lub śmierć może... — dokończyła ciszej,
jakby obawiając się własnych słów.

W głosie młodej kobiety zdrząły łzy.

Panna Amelia milczała zakłopotana. Odwykła
dzielić cudze uczucia, nie wiedziała co ma powiedzieć,
czy i jakie rzucić słowo pociechy. Tymczasem Janka,
spojrzawszy na swoją dawną nauczycielkę, mówiła
dalej:

— Pani to szczęśliwa, spokojna! Nikogo pani
nie wysyła na wojnę, o nikogo się pani nie lęka,
nie zna, co to ból, trwoga, tęsknota! Dla pani wojna
nic nie zmieniła! Ale teraz żegnam panią, muszę
spieszyć, aby kupić Wackowi kilka rzeczy na drogę.
Rozeszły się.

Słowa Janki bardzo niemile uderzyły pannę
Amelię, poruszyły w jej duszy jakąś zapomnianą,
dawno zgłuchłą strunę. Zadumała się nad tem, czy
rzeczywiście może podróżowanie bućki i śmietanki jest
niegodną wspomnienia blahością wobec bólu matki
lub żony, która wysyła syna czy męża na wojnę,
na bój...

Na ustach panny Amelii zawisł nagle ironiczny
uśmiech.

Janka nazwała ją spokojną, szczęśliwą! Czyżby
jednak ta młoda, zakochana kobieta zamieniła cier-
pienie swoje na taki spokój, na takie szczęście?

Napewno nie!

Baby może panna Amelia dalej snuła tę gorzką
refleksję, ale w tej chwili weszła do bramy swo-
jej kamienicy i myśli jej zwróciły się w inną stronę.
Już na schodach poczuła niemiły swąd przypalonego
mleka.

Złowrogie przeczucie ogarnęło ją.

To pewnie ta roztrzępiona Joasia przypaliła śmie-
tankę, a w takim razie marzenie o doskonałej ka-
wusi z kożuszką obróciłoby się w niwecz.

Niespokojna weszła do kuchni i przekonała się,
że jej przeczucie nie omyliło. Śmietanka była przy-
palona zupełnie!

Panna Amelia oniemiała ze zgrozy i z wyrzu-
tem spojrzała na służącą. Jednakowoż Joasia zda-
wała się nie zwracać żadnej uwagi ani na oburze-
nie swej pani, ani na zniszczoną śmietankę. Sie-
działa przy stole, czytając kartkę pocztę polową,
a duże krople łez padały na różowy papier.

— Ach! proszę pani! — zawołała — Mój Sta-
szek pisał do mnie z pola! Został już frajtrzem, ale
jest w takiej strasznej bitwie... siedzą w jakichś
rowach, a Moskale strzelają do nich!... Wicek Ba-
lon, najlepszy kamrat mojego Staszka, jest już za-
bity! Biedny Wicek, on także miał narzeczoną, tę
grubą Kaśkę od doktora z przeciwnika...

I Joasia zaniosła się głośnym płaczem.

— Ależ Joasiu! — zawołała oburzona panna
Amelia — Jak ty pilnujesz swoich obowiązków?!
Cała śmietanka na nic! Jakież to będzie podwieczorek?!

Dziewczyna skoczyła nagle jak oparzona:

— A mnie co obchodzi teraz śmietanka i ten
cały głupi podwieczorek! Czy pani to rozumie się
na tem, że człowieka serce boli... Sama pani jak
ten palec, to się pani o nikogo nie troszczy, o ni-
kogo nie trapi, to się pani chce myśleć ciągiem o ro-
sołkach, pulardkach, śmietance!... A bo to pani wie,
co to znaczy...

Panna Amelia nie słuchała dalszego ciągu rozu-
mowań wymownej Joasi. Wyszła do pokoju, zamy-
kając drzwi za sobą.

Czoło starej panny przerznięła przykra fałda, a usta
zaciśnęły się mocno.

Tak, Joasia miała rację! Nie rozumiała innych,
bo sama nie miała nikogo, o kogoby się troszczyć
potrzebowała.

Była bardzo szczęśliwa!

Na murach domów Krakowa rozlepiono afisze,
zapowiadające ewakuację twierdzy. Panna Amelia
biegła po swoim mieszkaniu, jak w gorączce. Żal
jej było opuszczać to zaciszne gniazdko, które z taką
starannością jak najwygodniej sobie urządziła. Mogła
się wprawdzie zaprowiantować i pozostać, ale z dru-
giej strony, przerażała ją myśl o tem, jak drogiem
i niewygodnym będzie życie w zamkniętej twierdzy.

A cóż dopiero na wypadek oblężenia! Trzeba
więc jechać, ale dokąd?! Ile rzeczy zabrać, komu
oddać administrację kamienicy?!

W kłopotcie swoim pobiegła do zameżnej kuzynki.
Zle jednak trafiła. Kuzynka miała kilkoro dzieci, słab-
bowitego męża i aż nadto swoich kłopotów.

Musiała także wyjeżdżać, oświadczyła więc pan-
nie Amelii kategorycznie:

— Moja kochana, ty już chyba najmniej masz
powodów do narzekania, jesteś sama, masz majątek,
wszędzie i zawsze dasz sobie radę. Co innego ja
z moją gromadą! Głowa mi pęka, jak tu poradzić
wszystkiemu.

Panna Amelia wyszła od kuzynki, nie zasię-
gnąwszy żadnej rady, natomiast z uczuciem dziwnie
niemiłego podrażnienia. Przypomniała się jej rozmowa

z Janką Skalską z przed kilku tygodni. Analogiczna
myśl zaświtała w mózgu starej panny.

Zadała sobie pytanie, czyby ta skłopotana, zbied-
zona kuzynka oddała swoją rozwrzeszczaną dzie-
ciarnię za jej spokojną samotność.

I znowu ta sama odpowiedź: nie!

Na dworcu w Morawskiej Ostrawie panował gwar,
tłok, ścisk nie do opisania. Tysiące wychodźców, gna-
nych falą wojny, dążyły w rozmaite strony. Na pe-
ronie piętrzyły się stopy pakunków, tobołków, kufrów,
kuferków, wypchanych worków, sienników... Niektó-
rzy z wychodźców uwozili na obczyznę całe swoje
mienie ruchome... Rozlegał się płacz dzieci i nawo-
ływanie matek...

Wśród tego tłumu podróżnych znalazła się także
i panna Amelia.

Jechała do Pragi, wyrozumowawszy sobie, że
w stolicy Czech będzie się można taniej i wygodniej
urządzić, aniżeli w przepełnionym, natłoczonym Wie-
dniu...

Eleganckie kufrы swoje nadała wprost do Pragi
i obecnie trzymając w ręku dwie ręczne niewielkie
walizki, oczekiwała na pociąg... Nagle poczuła, że ktoś
szarpie ją mocno za suknię... Obejrzała się i zob-
czyła małą, czteroletnią może, jasnowłosą dziewczynkę,
która kurczowo chwytając się fałd jej sukni, zano-
siła się od płaczu.

Panna Amelia rozglądnęła się wokoło, szkając
wzrokiem opiekunów dziecka. Dziecko jednakże zda-
wało się być samo, nikt bowiem go nie wołał. Po-
ciąg z głośnym świstem wtoczył się na stację,
podróżni poczęli tłoczyć się do wagonów. Nie było
czasu do namysłu, panna Amelia chwyciła dzie-
wczynkę i wsiadła z nią do pociągu. Przez cały czas
podróży musiała uspakajać rozplakane dziecko i trzy-
mać je na kolanach.

Było to bardzo niewygodne i sprawiło wiele
kłopotu. Elegancka suknia podróżna panny Amelii
zmiała się zupełnie.

Na dworcu w Pradze nikt się po dziewczynkę
nie zgłosił, nie pozostawało więc nic innego, jak
tylko zabrać ją do hotelu.

Przez całą noc nie mogła panna Amelia zmru-
żyć oka. Skoro tylko bowiem zaczynała zasypiać,
zdenerwowane dziecko, widocznie dręczone przy-
kremit snami, zrywało się z krzykiem.

Stara panna, przyzwyczajona do spokoju i ciszy,
wstała rano niewyspana i zmęczona. Postanowiła,
że od razu zawiadomi policję o obecności dziecka.
Tak też uczyniła.

Na policji jednak oświadczono jej, że dopóki
się po dziecko kto nie zgłosi, musi je zatrzymać
u siebie. Jeżeliby chciała koniecznie pozbyć się kło-
potu, to może oddać dziewczynkę do przytułku dla
opuszczonych dzieci.

Po krótkim namyśle panna Amelia zdecydowała
się zatrzymać dziecko. Sama nie chciała przyznać
tego przed sobą, że miała ujęła ją za serce... Spra-
wiała jej wprawdzie wiele kłopotu, ale patrzyła tak
milutko swemi niebieskimi oczkami, tak przytul-
nie, bezradnie garnęła się do niej, jakby instynkto-
wnie szukając opieki.

— Nie mogę przecież — usprawiedliwiała się,
jakby sama przed sobą, panna Amelia — tak deli-
katnego dziecka oddać do przytułku... Ładna su-
kienka i pluszowy płaszczek wskazują, że dziecko
pochodzi z zamożnej rodziny...

Powziąwszy więc postanowienie zatrzymania ma-
łej, udała się na poszukiwanie mieszkania, t. j. ume-
blowanego pokoju ze światłem opalem, obsługą...

Wkrótce skonstatowała ze zdziwieniem, że go-
spodynie praskie z zaskakującą jednomyślnością
okazują jakąś specjalną niechęć do sublokatorów
z dziećmi.

Wszędzie słyszała pytanie:

— Mate diti?

Napróżno panna Amelia kilka razy, upodobawszy
sobie jakiś pokój, usiłowała wytłumaczyć, że ma
wprawdzie chwilowo dziecko przy sobie, ale może
niedługo czas tylko je zatrzymać.

Nic nie pomagało. Gospodyni wstrząsała głową
i oświadczała kategorycznie, że nie przyjmie loka-
torki z dzieckiem.

Nareszcie udało się pannie Amelii znaleźć jakąś
pobłażliwszą dla dzieci kobiecinę. Musiała jednak
zapłacić wyższą cenę.

Mimowolnie westchnęła nad dolą tych wychodź-
ców polskich, którzy mając dzieci, są zmuszeni szu-
kać w „Złatej Pradze” „umeblowanego pokoju z ob-
sługą”.

Wynająwszy mieszkanie, wprowadziła się panna
Amelia razem ze swoją pupilką.

Od małej zdołała się tylko dowiedzieć, że się
nazywa Wandzia. Pozatem dziewczynka opowiadała
coś beładnie o jakiejś pannie Julci, która z nią